

## Gołubiewem go! [FELIETON]

Niestety, Arystoteles nie stoi dziś na czele działu kadr Ministerstwa Edukacji Narodowej, ani nawet Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Chełmie – choć przydałby się i tam, i w kilku jeszcze instytucjach – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

„– Ludzie jakowyś od lasu!... Ludzieeee! Kobiety dziobiące motykami grzędy podniosły się, wyprostowały bolące krzyże. Świętocha odgarnęła włosy ze spoczonego czoła, pytała: – A kądą to lecisz, Żarek?”

Tak to się zaczyna, wiadomo, a potem, gdy pan Gołubiew przestawił się już na dobre z koncepcji jagiellońskiej na piastowską, szło to nowe przez półtora tysiąca stron z appendiksem. Jak nie otrok, to dziewosłab, jak nie kmieć, to białka, isto, wzdyż, pry, sielny, Giez, Dadźbog, Żarek... „Białki stały z daleka, lekko zastrachane”, podobnie, jak większość czytelników, gdy przez „Puszcze” już przebrną i widzą, że to pierwszy tom jeno, a heć! mającą ano w ostępach etażerki kolejne trzy.

Była to sztuka archaizacji, co się zowie – sztuka, by było zabawniej, praktykowana, choć brzmi to jak pleonazm, już w starożytnych czasach. Ateńczycy mieli niezłe ucho i potrafili zauważyć, jak *koinè* zmienia się przez kilkaset lat piśmienności. Odtąd już tak zostało. Wielkie to źródło radości, obserwować przemiany języka: dojrzewanie słów, ich

zmieniającą się barwę i wagę, niczym jeżyna (staropol. ostrężyna), od bladokoralowego różu przechodząca w trzy miesiące do dojrzałej, atramentowej, lepkiej czerni. Czasem zdarza się słowom wiotczeć, czasem usychać (staropol. mierzchnąć), czasem łuszczyć jak zwietrzała farba olejna. Czasem takie uschłe słowa nagle, w pokolenie lub półtora później, niczym mech lub te trawy osobliwe, które lud *peretykopolem* zowie, zazielenią się i odżyją drugim, zwykle ironicznym życiem. Częściej, niczym łany młodego jęczmienia (a i chwastu), które wiatr roztończy kołysz, prą w górę jednoroczne źdźbła *eluwiny*, *bamboleo*, *naury* czy *bazooki*.

*Wielkie to źródło radości,  
obserwować przemiany  
języka: dojrzewanie słów, ich  
zmieniającą się barwę i wagę*

Sięganie po slang młodzieżowy jest niemal niezawodną receptą na śmieszność, o czym wiedzą wszyscy czytelnicy tzw.

powieści młodzieżowych powstałych w drugiej połowie XX wieku, kiedy już odkryto, że młodzi ludzie posiadają swój język i wszyscy klasycy Naszej Księgarni, od Siesickiej do Ożogowskiej, okraszali swoje dzieła frazami tak soczystymi jak „jarają” albo „wapniaki”. Za to w literaturze historycznej, owszem, stylizacja się sprawdza. „Wtem w ciemnościach ozwał się silny i rozkazujący głos: – Hej tam! skrzesać ognia i zapalić! Po chwili posypały się naprzód iskry, a potem buchnął płomień suchych oczeretów i łuczywa”.

Żeby jednak stawać w te szranki, warto strzyc uchem na język i zdawać sobie sprawę z jego przemian. Potrafił się na to zdobyć biskup Ignacy Krasicki, pisząc w „Monitorze” w roku Pańskim 1767: „Strykowski,

historyk litewski, wojewodziankę krakowską nazywa *dziewką* wojewody krakowskiego: za naszych czasów o tym nie słyhać, chyba między chłopami na wsi, i to dalekiej od Warszawy”. Potrafił i pan Sienkiewicz, i pan Gołubiew nawet. Wszyscy jednak wiedzieli, że słowa się zmieniają, że salwy hebesowatego śmiechu wywołać może nie tylko rzecz tak dostojna, jak czytana na głos w siódmej klasie I księga Pana Tadeusza, gdy rzecz dochodzi do ozdób, wiszących u pasa Sędziego, ale i inne słowa: „Wiele wyrazów dawniej używanych dziś albo są nieprzyzwoite, albo dwuznaczne. Przyzwoiciej było dawniej mówić *białogłowa*, niżeli później upowszechniony wyraz *kobieta*”, pouczał romantyków Kazimierz Brodziński, który sam wszak nie puchem marnym był, lecz krytykiem.

Jeśli się tego nie wie, nie rozumie lub nie potrafi, archaizacja odgiąć się potrafi zdradliwie, niczym szabla damascenka, krzywo snadź ujęta lubo też między łękiem a jukami zwichrowana. Co innego brzmieć spiżem – Czemu, cieniu, odjeżdżasz, ręce złamawszy na pancerz? – co innego podzwaniać spiżowym brzękadełkiem, co dziwnie skutecznie praktykował imć Andrzej Waligórski.

Jeśli komuś szabla odwinie się tak niefortunnie, że po policzku go praśnie, albo bodaj i ucho przytnie, szkoda to nie tak wielka. Jeśli jednak przyjdzie mu, za takim kaprawym się złożeniem, zranić drugiego, albo i sprawie, poważnej sprawie, zaszkodzić – snadź godziłoby się takiego rycerza między ciury posłać, by tam praktykował nieco ze słomianemi kukłami, nim znów w pole się go wypuści, między towarzyszy, co w gardłowej potrzebie stają.

Myślę o tym, śledząc z takim natężeniem, że nieledwie zeza widlastego dostaję, dwa jednocześnie zjawiska. Jednym okiem pooglądam na wielkie procesy cywilizacyjne, gramsciańskie i butleriańskie, mieniące się dziesiątkami niezbyt przyjemnych odcieni, które prowadzą, już to intencjonalnie, już mimochodem, do rozmywania tak zasadniczych pojęć jak natura ludzka, rodzina czy macierzyństwo.

*Sięganie po slang  
młodzieżowy jest niemal  
niezawodną receptą na  
śmieszność, o czym wiedzą  
wszyscy czytelnicy tzw.  
powieści młodzieżowych  
powstałych w drugiej połowie  
XX wieku*

Drugim, nieco skośnym, zerkam na trwający od tygodnia wysyp memów, nakładek, karykatur, zwischenrufów i bonmotów, na nową skrzydlatą frazę polszczyzny, co ze świergotem wzbiła się wysoko, wysoko – tak wysoko, jak nigdy

nie sięgną dziesiątki żmudnie pisanych tekstów wykładowcy Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Chełmie, dr. hab. Pawła Skrzydlewskiego, który, uczenie prawiąc w koło o Feliksie Konecznym, i Jamesie Harringtonie, i ks.prof. Mieczysławie Albercie Krąpcu OP, tego jednego nie pojął: że zdanie „Roztomiła Dubrawo! Wdy nie lza isto imioniszcze, gdy bzda na wdzydze leże, a Brzetysław hań na grani...” nie jest zaginionym fragmentem powieści Chrobrego, lecz jej parafrazą. I że podobny los spotkać może sformułowanie „cnoty niewieście”, które, jakże na miejscu w pouczeniach udzielanych przez dobrą panią Emmę Latter, a może i Marynię Połaniecką, niekoniecznie brzmią tak samo w roku 2021 – eluwina!

I, skoro już zgadało się o cnotach i niecnotach, warto może za czwartą księgą „Etyki Nikomachejskiej” przypomnieć agroikię (*ἀγροικία*) – czyli rodzaj ponuractwa, polegającego na nieumiejętności dostrzegania śmieszności. Zdaniem Stagiryty agroikia, podobnie jak jej przeciwieństwo, czyli rehotliwa bomolochia, stanowić powinna przeciwskazanie do pełnienia ważnych funkcji w polis. Niestety, Arystoteles nie stoi dziś na czele działu kadr Ministerstwa Edukacji Narodowej, ani nawet Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Chełmie – choć przydałby się i tam, i w kilku jeszcze instytucjach.

*Wojciech Stanisławski*

Przeczytaj inne felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030

